

Fragment utworu w przekładzie

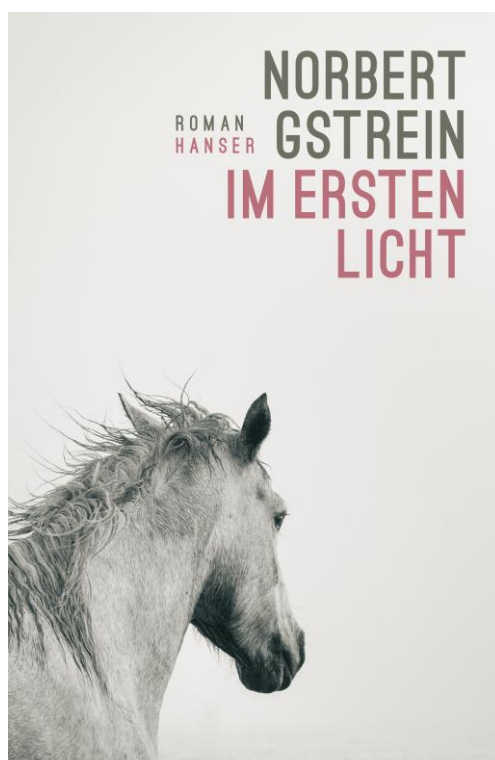
Norbert Gstrein
Im ersten Licht

Carl Hanser Verlag, München 2026
ISBN 978-3-446-28297-1

Str. 29-42

Norbert Gstrein
O świcie

Przekład: Małgorzata Gralińska



Z początku Adrian ani trochę nie brał na poważnie tego, co Karla opowiadała mu w drodze powrotnej z willi Ellerów, że panicz kogoś jej przypomina, tylko za nic nie może wpaść na to, kogo. Mówiła, że odkąd goście znów zaglądają do Seehofu, spotyka tylu ludzi, że nie może mieć oczywiście pewności, ale nie zdziwiłaby się, gdyby już go tam kiedyś widziała, a jeszcze mniej by ją zdziwiło, gdyby to było przed wojną. Wpadła tym samym na właściwy trop, lecz to, że panicz, który zamieszkiwał w willi wraz z innymi mężczyznami o zniekształconych twarzach, miałby być jednym z synów Ellerów, to jednak zupełnie inna historia.

Adrian usłyszał o tym dopiero dwa tygodnie później, kiedy wbrew swojemu zamiarowi, żeby przestać chodzić do willi, przez niespełna dziesięć dni codziennie musiał się tam pojawiać. I jakby tego było mało, nie chodziło o syna, który przeżył wojnę, lecz o tego drugiego, który rzekomo poległ pod Belgradem, chociaż we wspomnianym czasie w okolicy nie toczyły się już żadne walki. Brzmiało to o wiele pokrętniej, niż wyglądało w rzeczywistości. Ellerowie, jedna z wiedeńskich rodzin, które spędzały lato nad jeziorem albo przynajmniej miały to w zwyczaju przed wojną, szukali jedynie sposobu, jak ukryć przed ludźmi syna ze zmasakrowaną twarzą, zanim wymyślą, co z nim zrobić dalej, dlatego wpadli na pomysł, by uznać go za zmarłego i incognito umieścić w willi, przydzielając mu, żeby się nie czuł samotny, paru towarzyszy niedoli. Ci zawsze mieli zostawać na dwa tygodnie, a potem ustępować miejsca kolejnym gościom. Kłopot w tym, że nową placówkę utworzono dla uczczenia pamięci ich zmarłego syna, co było czymś więcej niż tylko niewinnym kłamstwem, i właśnie dla upamiętnienia zmarłych synów na początku września w Seehofie miał się odbyć wspólny obiad wraz z dwoma wiedeńskimi rodzinami, które posiadały wille w sąsiedztwie i które rzeczywiście straciły synów na wojnie, z państwem Körmendy-Speiser i państwem Wohlgemuth, a to już zmieniało nie tak znowu niewinne kłamstwo w wielkie oszustwo i nikczemność.

Willa Ellerów w zasadzie nie stała bezpośrednio nad jeziorem, lecz kawałek od brzegu, z centrum miasta nie dało się do niej dotrzeć tak łatwo na piechotę. Pewnego razu przed wojną Adrian omal nie wszedł do tego domu. Czasami, kiedy ojciec w niedzielę albo po skończonym dniu pracy pożyczał mu swój służbowy rower, Adrian przejeżdżał wzdłuż ogrodzenia willi i uciekał z miasta na łąki i wzgórza. Bywało wtedy, że obserwował przez sztachety młodzieńców na korcie tenisowym, dwóch synów owej rodziny, i że słyszał odgłosy odbijanych piłek, kiedy grali, co budziło w nim dojmującą tęsknotę, której wówczas nie potrafił jeszcze nazwać i która

najprawdopodobniej już wtedy, choć jeszcze nieuświadomiona, była jego angielską tęsknotą, jak ją później określał. Tamten jeden jedyny raz piłka przeleciała nad płotem. Adrian śledził jej lot, znalazł ją w krzakach i zadzwonił do willi, a wtedy jeden z paniczów podszedł do bramy. Adrian nie wiedział, który to z braci, wtedy jeszcze nie znał ich imion, ale stojący przed nim młodzieniec zapytał go, czy nie zechciałby wejść do środka i się czegoś napić, wyglądała na zgrzanego.

– Za pozwoleniem!

Jeszcze długo potem o tym pamiętał, o swoich słowach, a także o tym, że panicz wcale nie zachowywał się jak jaśniepan, tylko traktował go ze szczególną uprzejmością.

– Bez obaw, nie gryzę.

Biała koszula i białe, luźne spodnie przytrzymywane przez wąski pasek wysoko w talii.

Wydawał się podkpiwać z gościa.

– Czy wcześniej nie zdarzało ci się już skradać pod domem?

Żwirową ścieżką nadbiegł pies, dog.

– Lord – panicz przemawiał do niego uspokajającym tonem – zachowuj się jak dżentelmen.

Potem, przytrzymując psa za obrozę, zaprowadził Adriana obok kortu do domu i zawołał w głąb korytarza na gospodynię. Poprosił ją, żeby przyniosła szklankę wody. Na korcie stał drugi panicz oraz dwaj inni młodzi mężczyźni. Z rakietami w dłoniach czekali na swojego partnera, cała trójka również ubrana na białe, a gdzieś z tyłu dobiegały głosy dwóch młodych kobiet czy też raczej dziewcząt, wysokie i dźwięczne głosy, które Adrian, tak jak całą resztę, nawet po latach wciąż miał w pamięci. Żaliły się na chłopców, jak długo mają zamiar je tak zwodzić, teraz ich kolej, jak panowie dalej się będą tak guzdrać, to zrobi się ciemno, zanim rozegrają swoją partię do końca albo się jeszcze rozpada. Na to się jednak nie zanosilo, niebo od wielu dni było błękitne, w górze ledwie kilka pojedynczych cirrusów, i choć Adrian sam nie używał tego określenia, bo wydawało mu się niedorzeczne, wiedział, że w całym kraju znajdą się ludzie, którzy tego dnia będą mówić o „cesarskiej pogodzie”; i jedynie nad dziejopisarzami, i to nawet nie tymi najlepszymi, skoro używali podobnych sformułowań, zbierały się już chmury.

Tamta czerwcową niedzielą, niedzielą niczym z obrazu akwarelisty, rok 1914, Adrian miał trzynaście lat, mogliby mieć przed sobą całe mnóstwo dni, ale kilka tygodni później stary cesarz złożył podpis pod ostateczną deklaracją, a czworo młodych ludzi, których Adrian widział na terenie willi, było już na wojnie. Obaj synowie Ellerów, ma się rozumieć, Ernest i Herbert, oraz dwaj pozostali: młody Körmendy-Speiser i młody Wohlgemuth. Ich nazwiska usłyszał od ojca, który tak długo roznosił pocztę czy też raczej dostarczał ją na rowerze służbowym, że znał wszystkich w swoim rejonie, a przynajmniej wiedział coś na temat każdego, kto posiadał tam adres, i chociaż

Adrian nawet nie zbliżał się do wymaganego wieku, ojciec go ostrzegł, żeby wybił sobie takie pomysły z głowy.

– Tylko nie myśl, że pewnego dnia przyjdzie kolej na ciebie – powiedział. – Jak panowie chcą się brać za łby, to niech wyjaśniają to między sobą, a nie naprzykrzają się nam swoimi sprawami.

Ojciec uważał dyskusję za zakończoną, choć jednocześnie, zapamiętując się w długich tyradach, potrafił wyrażać swoją niechęć na wiele sposobów. Od zawsze miał na oku trzy wiedeńskie rodziny posiadające wille w pobliżu jeziora, a to, że teraz z dumą pozwolili iść swoim synom na wojnę, unaocznilo mu jedynie głupotę jaśniepaństwa. Po liwerancie dworu i wojska, panu Ellerze, niczego innego się nie spodziewał, lecz nie mógł wyjść ze zdumienia, że tak samo głupi okazali się pan Körmendy-Speiser i pan Wohlgemuth, jeden bądź co bądź dyrektor banku, który bez wątpienia mógłby wykupić ze służby kilka batalionów, a drugi słynny chirurg, do którego ciągnęli pacjenci z całej monarchii. Z drugiej strony Körmendy-Speiserowie i Wohlgemuthowie byli innego wyznania, jak bez zwyczajnego lekceważenia określał ojciec, i może to stanowiło wyjaśnienie, może to, że byli Żydami, tłumaczyło, dlaczego nie chcieli wyłamywać się z szeregu i od samego początku przyłączyli się do bezsensownej fanfaronady, jakby najchętniej sami zamierzali uderzyć w werble i posłać swoich synów na front, jeszcze zanim zrobią to Ellerowie. Czterech młodych mężczyzn – ostatecznie nie mieli innego wyboru niż poddać się euforii. Ojciec Adriana wiedział, w jakich pułkach służyli, wiedział, dokąd ich przeniesiono, wiedział kiedy po raz pierwszy zetknęli się z wrogiem i gdzie przeszli chrzest bojowy, wiedział, ponieważ docierał z pocztą do każdego domu, a w okolicy nad jeziorem był to temat rozmów i tu ktoś coś usłyszał, gdzie indziej ktoś inny, a każdy miał własne zdanie.

Adrian był raz świadkiem rozmowy ojca z sąsiadem, kiedy to ojciec nazwał paniczów zarozumiałymi wiedeńskimi gogusiami, wiecznie upojonymi swoją wiedeńskością – nie zasłużyli na nic innego, jak tylko na upokorzenie na oczach świata. Sąsiad uważał ojca za socjalistę, ale co to znaczyło, abstrahując od tego, że ojcowskich napadów złości nie dało się zbyć jedynie jako ataków raptusa, który nie potrafi nad sobą zapanować? A może istniały jakieś przekonujące powody owych ataków? Jego wściekłość osiągała największe rozmiary wówczas, gdy w kłopotliwej dla siebie sytuacji nie umiał powiedzieć „nie” albo gdyby jego „nie” mogło wyrządzić mu tyle szkody, że byłoby równoznacznie z zaprzeczeniem samego siebie. Ale czy ojciec co niedzielę nie chodził do kościoła, czy jak pozostali nie klękał posłusznie przed krzyżem? Socjalista – słowo wypowiedane przez innych zawsze z najjadowitszą pogardą. Czy dwukrotnie przed wojną ojciec wraz z całymi delegacjami entuzjastów nie ustawiał się w szpaler, by uczcić przybycie cesarza na coroczny letni wypoczynek, czy specjalnie w tym celu nie wyruszał w drogę, wierny urzędnik pocztowy w służbie Jego Majestatu, nawet po skończonym dniu pracy gotów do objęcia ewentualnych obowiązków,

skoro potrzeba obecności wiwatującego chóru? Nie musiał więc tak od razu czepiać się młodych paniczów, nie musiał ich przecież tak bezwzględnie potępiać.

– Wszyscy, rzecz jasna, w kawalerii – mówił. – Dragoni, husarzy, ułani. Jakże mogłoby być inaczej w przypadku tych rozpieszczonych synalków? Bez kawalerii nie ma kawalerów, a bez kawalerów – kawalerii. Ot, cała tajemnica.

Sąsiad niewiele się odzywał, kiedy ojciec kontynuował swoje wynurzenia. Adrian zyskał tym samym wyrazisty, choć również niezwykle jednostronny obraz młodych mężczyzn. Nosili buty z cholewami, kochali swoje konie, zanim poczuł się w obowiązku pokochać kobiety lub, jeśli to było zbyt wiele, nawiązać z nimi inne relacje, które pozwoliłyby im uchodzić za dżentelmenów. Zadurzeni po uszy w swoich zwierzętach, jak jacyś nierozgarnięci uczniacy, którzy w środku wojny nadal nie pojęli, że na polu bitwy nie chodzi o to, by robić dobre wrażenie i uczyć czworonogi *pas de deux* i cofania, zupełnie jakby zamierzali brylować na balach i redutach, wzięwszy za wzór najsurowsze cesarsko-królewskie zakłady hodowli koni wraz z wytycznymi hiszpańskiej szkoły jazdy i śnieżnobiałymi lipicańskimi marzeniami. Do tego niedorzeczne bajdy na temat sławy i honoru, fantazje o tym, jak ubóstwiana klacz – gdy już do tego dojdzie – okryta czarnym kropierzem, w czarnej masce żałobnej i z kitą czarnych strusich piór na głowie prowadzi kondukt żałobny swojego pana i i kroczy tuż za trumną. Słowo „padlina” nie miało tu nic do rzeczy, a jednak miało z tym wiele wspólnego. Truchli blask żywego trupa, przeczytał później Adrian w gazecie i naraz światło wokół niego nie było już takie samo. Widział zdjęcia końskiego ścierwa na froncie, może to uzasadniało wściekłość ojca, który potrafił powiedzieć, jak już chcą wojny, to gdzieś w wysokich górach, gdzieś pośród śniegu i lodu, najlepiej zimą, bo wtedy zawsze znajdują się miejsca, do których ci idioci nie dotrą na swoich chabetach, jak już umierać, to z pewnością nie razem z tymi walczącymi firecykami w śmiesznych czerwonych spodniach i specjalistami od składania pocałunków na damskich dłoniach.

– Niespełna rozumu chłoptysie, z pękami kolorowych piór na głowach rzucają się w nieprzyjacielski ogień, a wyrządziwszy tyle szkód, ile tylko zdołają, niczym zabawkowe figurki dają się zestrzelić z siodeł.

Potem Adrian już zawsze się wstydził, że jest Austriakiem i – zanim pojawiły się zupełnie inne powody do wstydu – miało to związek również z tymi końmi, cesarskimi czy cesarsko-królewskimi jeźdźcami, którzy przemaszerowali przez Ukrainę, żeby ruszyć do ataku na Rosję, i zachowywali się przy tym, tak, jakby każdy z nich chciał jak najszybciej zająć pozycję, w której porządnie oberwie i odniesie krwawe rany na głowie – kawalerzyści z przekonania, ze sposobu bycia, bo bardziej honorowo postawić na straconą sprawę niż patrzeć w przyszłość. Była to ostatnia wielka operetka, w której wystąpili, groteskowa galopada, na którą zdobyła się dogorywająca

monarchia przy wtórze szyderczego śmiechu całego świata, ich zaś potomkowie już nigdy się z tego nie otrząsną, ponieważ zawsze się da ich pozyskać dla każdej głupoty, o ile tylko odpowiednio triumfalnie ją zainscenizować. Nie trzeba gnać jak w westernie, lecz jeśli chce się być brany na serio, nie wolno się zachowywać jak nadęty klaun na obwieszonym ozdobnym sznurem cyrkowym ogierze. A potem nadeszły pierwsze druzgocące wieści.

Młody Körmendy-Speiser poległ w Karpatach, młody Wohlgemuth nad Piawą, wydelikaczone żydowskie chłopaczki, jeśli by spytać ludzi nad jeziorem, niemal dziewczęta, nie na tyle biegli w sztuce zadawania ciosów, dźgania, strzelania i zarzynania, żeby wystarczyło im to do przeżycia. Dla zaopatrzenia armii Ellerowie wysyłali teraz całe pociągi pełne tuczonych świń z Chorwacji do Wiednia, i jeszcze nim zaczęło się mówić, że ich starszy syn też oberwał – tym razem stało się to w okolicy Belgradu – ojciec Adriana wziął sprawy w swoje ręce. Nie chciał ryzykować i przyglądać się beczynnemu, jak być może za chwilę także jego syn zostanie przemielony przez maszynkę do mięsa, tym bardziej, że już od dawna nikt przy zdrowych zmysłach nie wierzył w pomyślne zakończenie wojny, dlatego też było mu na rękę, że wcześniej zaczęli rąbać drewno na zimę – ojciec wbił Adrianowi siekierę w gołeń. Wypadek, nie wypadek, ludzie na pewno mówili: „złoty cios”. Od tamtej pory Adrian kulał, bo rana źle się goiła. Wydarzyło się to dokładnie na kilka miesięcy przed tym, nim wcześniejszy rocznik, 1900, miał się stawić na komisję wojskową. Lekarz, do którego się wreszcie wybrali i który znał go od dziecka, zdjął prowizoryczny opatrunek, popatrzył długo najpierw na Adriana, potem na ojca i w końcu zapytał, jak to się stało i dlaczego nie przyszli do niego wcześniej, nie wygląda to dobrze, jak wda się sepsa, Adrian może stracić nogę.

Ledwie zeszłej jesieni zmarła matka Adriana – nieleczona grypa, zapalenie płuc, jedno pasmo nieszczęść – w końcu matka przestała jeść, jakby miało zabraknąć żywności dla nich trojga, ojciec zamilkł na długie tygodnie, teraz zaś powiedział, że nie chce stracić również syna.

– Zdarzają się gorsze rzeczy niż taka rana. Co znaczy noga? Jak ma się krwawić jak zarzynana świnia, to lepiej krwawić w domu, a nie gdzieś na ukraińskim stepie.

To zdanie należało do żelaznego repertuaru ojcowskich powiedzeń. Na miejscu „ukraińskiego stepu” mogły się pojawić „galicyjskie błoto”, „serbskie podwórka” albo „włoskie górskie pułapki”, ale sens pozostawał niezmienny. Na wojnę szli tylko głupi, a nie jego syn, którego na pewno nie po to posyłał do klechów do internatu i któremu kazał zdawać maturę.

– Ostatecznie to jaśniepanowie sami sobie nawarzyli tego piwa i nawet jeśli by je teraz wypili, to i tak nie zostanie przywrócona sprawiedliwość. Jednak i to byłoby dobre na początek. Tyle że, niestety, tak się nie stanie! Na miejsce jednego z nich pojawiają się zawsze tysiące innych, którzy nie widzą żadnej romantycznej przygody w całym tym cyrku, a na końcu zdychają w identycznych albo jeszcze potworniejszych okolicznościach.

Nie spodobało się mu, że po wojnie w willi Ellerów umieszczono inwalidów, a kiedy Adrian mu powiedział, że dwaj z nich regularnie przychodzą do niego do hotelu, a potem przesiadują na tarasie, i że obaj mają zniekształcone twarze, ojciec kazał ich sobie bliżej opisać i nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

– Z tymi pyskami siedzą wśród gości, na tarasie Hotelu Schwanen, i nikt się nie skarży ?

Adrian nie widział w tym niczego złego.

– Jak do tej pory nikt – odparł. – Trzymają się zawsze na uboczu i uważają, by nikomu nie przeszkadzać. Poza tym jest niewielu gości, ludzie nie mają pieniędzy.

Ojciec odpowiedział, że przecież nie o to chodzi, tylko o zasady. I nawet jeśli w ciągu czterech lat wojny wielu mężczyzn nauczyło się znosić każdy widok, to chyba należałoby mieć wzgląd na kobiety.

– Może warto zadać sobie pytanie, czy w przypadku takich kreatur ma to jeszcze sens, czy powyżej pewnego stopnia zniekształcenia nie byłoby im lepiej gdzie indziej.

– Lepiej gdzie indziej?

– Niektórzy sądzą, że najrozsądniej byłoby ich wybawić od tego nieszczęścia – powiedział ojciec. Sam nie zdradził się z własnym zdaniem. – W ich opinii w każdym razie dla takich jak oni nie ma miejsca w życiu publicznym. To podobne do tych wiecznie wywyższających się Ellerów, że otwierają dla nich coś na kształt sanatorium. Wciąż ani śladu pokory. Niby usiłują upamiętnić zmarłego syna, a w rzeczywistości sami chcą się znaleźć w centrum uwagi. Dopiero co skończyła się wojna, a oni już wrócili do władzy. Zadzierają nosa, kiedy tylko mogą. A przecież czasy jaśniepaństwa powinny bezpowrotnie minąć.

Ojciec zdawał sobie sprawę, co straciła rodzina Ellerów, lecz wiedział również, że pomimo utraty wszystkich posiadłości w Czechach został im jeszcze spory kawałek lasu w Styrii oraz że mieli dwa domy w Wiedniu, oba w niezwykle korzystnym położeniu przy Ringu oraz, rzecz jasna, willę nad jeziorem, i choć przestali odpowiadać za dostawy dla dworu i wojska, bo nie było już ani dworu, ani żadnej znaczącej armii, to wciąż prowadzili sklep kolonialny, nie wspominając już o południowoangielskim spadku. W końcu pani Eller pochodziła z Wysp, z domu nazywała się Ingleby, mówił ojciec, jakby to nazwisko lub choćby tylko jego cudzoziemskie brzmienie jakoś ją wyróżniały, a gdy sytuacja jako tako się uspokoi, na pewno i stamtąd coś im skapnie. Ojciec, w samym podkoszulku, z początkami łysiny i szarym jednodniowym zarostem, siedział przy kuchennym stole. Do bycia socjalistą wystarczyły mu jedynie wykonywane rachunki: w zależności od tego, po której stronie się stało, albo zbyt gładko dawały okrągłe wyniki, albo nigdy się nie zgadzały, a człowiek zostawał na końcu z pustymi rękoma.

Tak miały się sprawy, kiedy Adrian otrzymał polecenie, żeby przez kilka dni pomógł w willi. Zdecydował, że na razie nie powie o niczym ojcu. Już widział, jak ojciec będzie się wściekać: jego syn pod żadnym pozorem nie może się teraz wysługiwać jaśniepaństwu, po cóż była ta cała wojna jak nie po to, żeby raz na zawsze zrzucić te wszystkie zależności. Adrian jednak nic sobie z tego nie robił i postawił ojca przed faktem dokonanym. Kucharka z willi się rozchorowała, z dnia na dzień nie udało się znaleźć za nią zastępstwa, na razie więc wyżywieniem gości miała się zajmować kuchnia Hotelu Schwanen. Jedzenie dostarczano codziennie w wielkich pojemnikach, a ponieważ Adrian nie był na recepcji niezbędny i jako tako zaprzyjaźnił się już z dwoma mieszkańcami willi, powierzono mu podgrzewanie i wydawanie posiłków. Każdego przedpołudnia dozorca zawoził go hotelowym samochodem do domu Ellerów, a wieczorem stamtąd odbierał. Adrian spędzał popołudnia na terenie willi, raz został nawet na noc, a piątego dnia jego pobytu tajemnica, którą skrywała willa, odsłoniła mu się w całej pełni.

Tymczasem sierpień dobiegał końca. Adrian dowiedział się od Karli, że w Seehofie trwają przygotowania do planowanego obiadu trzech wiedeńskich rodzin i że Ellerowie chcą wykorzystać swoją obecność nad jeziorem do złożenia uprzednio wizyty inwalidom wojennym, których zaprosili do swojej willi. Pan baron i pani baronowa, jak wciąż ich nazywano, mieli przybyć razem, w ostatniej chwili jednak plan się zmienił. Pan Eller, który nie zrezygnował z udziału we wspólnym obiedzie ku czci poległych synów z Körmendy-Speiserami i Wohlgemuthami, kazał przeprosić, że nie znajdzie czasu na wizytę w willi. Jego żona przyjechała bez niego, najpierw sama, a potem drugi raz w towarzystwie duchownego. Decydujące jednak okazało się to, że również ich syn zaszczycił swoją obecnością willę, w której bez zapowiedzi pojawił się dzień wcześniej, sprowadzając tym samym całą oficjalną pozę do absurdu. To właśnie on, Herbert Eller, odkrył przed Adrianem, kim jest panicz ze zmasakrowaną twarzą, który pewnego dnia usiadł na tarasie Hotelu Schwanen i nie chciał zdradzić swojego nazwiska, człowiek, na którego wszyscy mieszkańcy willi wołali po prostu „Lemberg”.